

Newsweek HISTORIA

WOLNE MEDIA W PODZIEMIU

JARUZELSKI FANEM

Jak gumka do majtek podczepiona pod hak żyrandola
przełamała komunistyczny monopol na książki i gazety

TEKST PAWEŁ SMOLEŃSKI



BIBUŁY

Podziemna drukarnia
opozycji solidarnościowej,
Gdańsk, wrzesień 1980 r.

T

o było odkrycie proste i genialne, na miarę postawienia jajka na sztos: kilka listewek, płyta pilśniowa lub sklejką, rakla do farby, emulsja światłoczuła – materiały dostępne w sklepach dla artystów, każdy mógł sobie zrobić ramkę pokrytą materiałem ze światłoczułą substancją i dru-

kować, że hej, a w razie wpadki cały sprzęt łatwo odtworzyć.

Technikę sitodruku znali plastycy, lecz do drugiego obiegu trafiła przypadkiem dopiero pod koniec lat 70. przez Witolda Łuczywę, elektronika z wykształcenia pracującego w warszawskim Instytucie Chemii. Witkowi powiedzieli o niej dwaj laboranci, ukradli sito i konieczne odczynniki, a on musiał to wszystko tylko wynieść do domu.

Przy sicie oszczędzano permanentnie deficytowy papier (najczęściej zdobywany od złodziei, choć na prowincji zdarzały się sklepy z artykułami papierniczymi, gdzie nikt nie sprawdzał, kto i po co kupuje sto ryz), bo druk był wyraźny, dwustronny i ułożony w szpalty, co mieściło o wiele więcej tekstu niż kartka zapisana od prawa do lewa, oraz sprzyjało ludziom nienawykłym do czytania. Wydawnictwa schodzące z sita, np. warszawski tygodnik „Robotnik” ukazujący się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, były też łatwiejsze w kolportażu, można było je podrzucać do fabrycznych szafek na ubrania, pojedyncza kartka lepiej mieściła się w kieszeni niż cały plik. Kłopot pojawiał się na samym końcu cyklu produkcyjnego, kiedy trzeba było gotowe gazety wynieść z drukarni. – Zastanawialiśmy się zawsze, co jest bezpieczniejsze: wynosić urobek na kilka razy w plecakach, czy na raz – opowiadał mi Witek.

– Kilka numerów „Robotnika” drukowaliśmy na Pradze przy ulicy Okrzei. Okolica trochę szemrana, odrapane domy, niedaleko urząd dzielnicowy. Było tam podwórko studnia, przechodnia brama i figurka Matki Boskiej, pod którą każdego ranka miejscowi pijaczkowie obalali tanie wina. Tachamy wielki wór, a jeden mówi do drugiego: „Patrz, chłopaki znów trupa wnoszą”. Baliśmy się, że zakapują, jak ich kac przycisnie. Nie zakapowali.

PRAWDZIWYM PROBLEMEM PRZY SITODRUKU BYŁ DŁUGI CZAS SCHNIĘCIA KARTEK, bo wymagało to dużo miejsca, by je rozkładać, oraz trzyosobowej ekipy: pierwszy drukarz (drukarka) przeciągał rakłą po sicie, drugi podkładał i odbierał papier, trzeci podnosił i opuszczał ramkę. Pierwszą sprawę rozwiązał nowy emulgator, czyli powszechnie dostępne szare pasty do mycia uwalanych smarem rąk, znane pod nazwami BHP lub Komfort. Zaś drukarza od podnoszenia ramki zastąpiła gumka do majtek podczepiona pod hak żyrandola, o wiele lepsza niż testowana guma modelarska lub do kapeluszy. Oba wynalazki powinny nosić znak firmowy Witka Łuczywy.

– Dzięki paście Komfort druk sechł błyskawicznie, ale czasami panie w mydlarniach pytały: „Im więcej pan tej pasty kupujesz, tym bardziej jesteś utytłany” – wspominał. – Gumka do majtek była wydajniejsza od człowieka.

Tak oto sito przełamało komunistyczny monopol na informację. W Polsce lat 80. było najpopularniejszym narzędziem druku antykomunistycznej opozycji.

SAMIZDAT, CZYLI WYDAWANIE LITERATURY (pierwsza była poezja), a potem ulotek i biuletynów informacyjnych poza zasięgiem państwowej cenzury, urodził się w Związku Sowieckim już w latach 20., gdy niektórzy autorzy rozpowszechniali utwory, kopiując je przez kalkę na maszynach do pisania. Nazwę, przyjętą dla wszystkich druków bezdebitowych w bloku sowieckim, ukuto w latach 60. Powstała ze zbitki rosyjskich słów „sam” i „drukuj”.

Było to z reguły kilkanaście sztuk maszynopisu podawanych z rąk do rąk, trafiały do bardzo wąskiej grupy czytelników. Lub w najlepszym przypadku setka z hakiem kopii, jak podczas Marca '68, gdzie korzystano z tzw. chińskiego powielacza: kilku, kilkunastu studentów przepisywało ten sam tekst strajkowych komunikatów.

Zmieniło się po Czerwcu '76. Środowisko organizujące pomoc dla represjonowanych robotników Radomia i Ursusa powołało Komitet Obrony Robotników. Pierwsze numery „Biuletynu Informacyjnego KOR” powstawały we wrześniu jeszcze metodą „na Chińczyka”. W sierpniu '77 powstała Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA. Do Warszawy trafił sprawny powielacz spirytusowy, z którego, używając jednej matrycy, można było wydusić kilkaset stron w miarę czytelnego druku. Szybko jednak przepadł, gdyż jego przemysł zorganizowany przez zachodniemieckich lewaków nadzorował agent bezpieki.

Równolegle trwała dyskusja, czy druk nie będzie bezczelnością, której „czerwony” nie zdzierży, prawdziwą nielegalną działalnością w odróżnieniu od KOR, opartego koniec końców na

konstytucji PRL i umowach międzynarodowych. Starsi członkowie Komitetu byli przeciw, wspierani przez Jerzego Giedroycia czy Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Młodszy – jak opowiadał współtwórca oficyny Konrad Bieliński – eksperymentowali z powielaczami. W jakimś sensie starsi mieli rację. Do powstania Solidarności w 1980 r. ludzie NOWEJ doświadczyli ponad 300 zatrzymań i prawie tysiąca rewizji, kilku aresztowań i wyroków.

Ale też NOWA wydała do Sierpnia około 300 tytułów. Kiedy Czesław Miłosz dostał Nobla, była jedynym wydawnictwem, jakie wydrukowało wszystkie jego wiersze. Inny noblista, Josif Brodski, mawiał, że tylko NOWA zapewniła mu tak wielkie nakłady, i był pewien, że jeśli w Polsce ktoś kupuje wiersze rosyjskiego dysydenta, to nie po to, by postawić je na półce w salonie.

Kiedy Kurt Vonnegut dowiedział się, że polskie podziemie wydaje jego książki bez respektowania praw, był więcej niż zadowolony. Po Okrągłym Stole gen. Wojciech Jaruzelski powiedział Grzegorzowi Bogucie, jednemu z szefów NOWEJ, że starał się czytać wszystkie książki wydawane przez oficynę.

Drukowano również na tzw. dojściach lub wrzutach. Trzeba było tylko znaleźć drukarza działającego w oficjalnym obiegu. Znakomite książki w bardzo dobrej jakości – np. „Kompleks polski” Tadeusza Konwickiego – wydrukowano na poligrafii Komitetu Warszawskiego PZPR. Kontakt między partyjnym drukarzem a opozycją załatwił katolicki ksiądz. W imponującym jak na owe czasy półtoratysięcznym nakładzie wydrukowano „Czarną księgę cenzury PRL”, czego w prasie PRL i w wydawanych legalnie książkach pisać nie wolno.

W tekście od redakcji w pierwszym numerze biuletynu KOR pisano: „Biuletyn ma na celu przełamanie państwowego monopolu informacji obwarowanego przez istnienie cen-

zury w naszym kraju. Zamieszczone w nim informacje służą jawności życia publicznego i składają się na kronikę represji stosowanych tak przeciwko obywatelom, jak kulturze narodowej. Rozpowszechnianie biuletynu jest czynnym występowaniem w obronie praw obywatelskich; jest korzystaniem z tych praw. Przeczytaj, przepisz i daj innym do czytania. Ujawniaj przypadki zamachów na prawa obywatelskie. Pamiętaj! Niszcząc biuletyn, zaklejasz usta sobie i innym”.

Zaś w każdym druku oficyny zamieszczano zdanie: „Od nas samych zależy los wolnego słowa w Polsce”.

JAK MOŻNA BYŁO W LATACH 70. ZOSTAĆ PODZIEMNYM DRUKARZEM? Z ogłoszenia, lecz nie w „Życiu Warszawy”. Krzysztofowi Siemieńskiemu wpadł w ręce numer „Biuletynu Informacyjnego”, gdzie podawano nazwiska, adresy i telefony członków KOR. A ponieważ przejął się zdaniem „Od nas samych...” i mieszkał

„KOMPLEKS
POLSKI” TADEUSZA
KONWICKIEGO
WYDRUKOWANO
DZIĘKI POLIGRAFII
KOMITETU
WARSZAWSKIEGO
PZPR. KONTAKT
MIĘDZY PARTYJNYM
DRUKARZEM
A OPOZYCJĄ
ZAŁATWIŁ
KATOLICKI KSIĄDZ

kilka pięter niżej od członka KOR Seweryna Blumsztajna (jak stało w „Biuletynie”), postanowił przejechać się windą.

– Drzwi otworzył mi facet z tatuażami na przedramionach – opowiadał Krzysiek. – Zapytał, czego chcę, więc powiedziałem, że znalazłem w „Biuletynie” adres pana Blumsztajna, że „tylko od nas zależy” i chciałbym coś zrobić. Facet w tatuażach wpuszczał mnie do środka, a potem zlecił pierwsze zadanie: powiedział, bym skoczył po piwo, bo wyglądał na potężnie skacowanego. To nie był Blumsztajn, lecz Roman Wojciechowski, „Romaszko”, drukarz NOWEJ. Widać „Biuletyn Informacyjny” za rzadko nowelizował adresy.

I tak 19-letni Siemieński wsiąkł w drukarstwo jak kilkudziesięciu innych przed nim i kilka setek po nim, nie bacząc, że w stanie wojennym wyroki za druk i kolportaż sięgały kilku lat więzienia.

* * *

– 13 GRUDNIA '81 WYWRÓCIŁ ŚWIAT DO GÓRY NOGAMI – opowiada Siemieński. – Mirek Chojecki był w Paryżu, Konrad Bieliński i Grzesiek Boguta w internacie. Zwinęli sporo ludzi znajdujących się na druku. Ale paru ocalało. Policzyliśmy się, zebraliśmy do kupy, udało się uratować kilka maszyn. No i znów pojechało, choć milicja ganiała jak wściekła.

Krzyśka złapano w 1983 r. w podwarszawskim Ostrowiku. Drukowali akurat – z Adamem Grzesiakiem, drukarzem o jeszcze dłuższym stażu, i z Mateuszem Wierzbickim, studentem filozofii, jak Krzysiek. Na początku ubecy przykuli ich do kaloryferów, kiedy w piwnicznej drukarni doszło do regularnej bijatyki. Potem kibitką zawieźli na Mostowo, czyli stołeczną komendę milicji i SB, a potem – na Rakowiecką. Próbowali podpiąć zarzut o związek zbrojny, zagrożony karą śmierci, bo w domku znaleziono broń myśliwską i maskę przeciwgazową.

Wyszli z amnestii.

I zaraz zaczęli drukować, choć szefowie podziemia nałożyli na nich szlaban ze względów bezpieczeństwa. – Niby mieliśmy zakaz zbliżania się do podziemia – mówią zgodnie – ale życie życiem. I znów poleciało aż do niepodległości.

W czasie najbardziej dotkliwych represji (karanych więzieniem, a potem ogromnymi sankcjami majątkowymi; np. konfiskowano prywatne samochody rozwożące bibułę i grożono odebraniem mieszkania) niezależny ruch wydawniczy eksplodował. Historycy oceniają, że kilkudziesięciotysięczny nakład „Tygodnika Mazowsze” docierał do 300 tys. czytelników i regularnie lądował na biurkach Departamentu Stanu USA, a tytuły innych podziemnych gazet nie były wiele gorsze. Książki wydawano w nakładach, które dzisiaj można nazwać bestsellerowymi.

* * *

CIEKAWIE, ŻE NIE PAMIĘTAJĄ MOMENTÓW HEROICZNYCH, gdy bito ich i grożono latami kryminału. Wolą te facecyjne.

– W Ostrowiku było gorąco, więc chemikalia stały w butelkach po oranżadzie – opowiada Grzesiak. – Krzysiek łyknął coś z flaszki i zorientowałem się, że to potwornie żrąca chemia potrzebna do offsetu, która przepaliła go na wylot. Wlałem w niego

wiadra wody z solą, żeby rzygał dalej, niż widzi. Przeżył, aresztowali go w dobrym zdrowiu, skoro zdążył się z nimi pobić.

Było też tak: – Siedzimy z „Romaszką” w Złotym Linie w Serocku po zakończeniu druku – opowiada Siemieński. – Pijemy wodę, a w pewnym momencie Romek zrywa się z krzesła, stuka dłonią w czoło i woła: „Cholera, zapomniałem o obrzynku”. Podbiega do kelnera, wciska mu pieniądze za naszą kolację i wybiega przed knajpę. Sprintem docieramy do drukarni, a tam pod furtką stoi trabant kombi. Szybko uchylona, za kierownicą uśmiechnięty pan. Nie wychodzi z samochodu, przygląda mi się uważnie. „Romaszko” zaczyna przeproszać, przedstawia mnie: „To mój sąsiad i praktykant”. Podaję rękę i dopiero wtedy widzę, że jest inwalidą. Dociera do mnie, że „obrzynek” to nie pistolet z krótką lufą, tylko „Obrzynek”, mój nowy znajomy.

Jurek Ignatowski stracił obie nogi w wypadku tramwajowym, gdy był chłopcem. Poruszał się na wózku. Jego żona Różyczka piekła wspaniałe ciasta i wspierała męża w tym, co robił. – Jego trabantem kombi przewieźliśmy przez te kilka lat wspólnego drukowania wiele ton papieru, powielacze, setki litrów farby drukarskiej – mówi Siemieński. – Jurek w samochodzie woził myśliwski nóż i wcale nie byłem pewny, czy tylko żartował, kiedy mówił: „Jakby co, to żywcem mnie nie wezmą”.

Drukarnia mieściła się w jego działkowej altance, pomagał we wszystkim, w czym mógł. Gdyby noc przed najściem bezpieki na Ostrowik nie pojechał do Warszawy, trafiłby na Rakowiecką.

Pewnego razu bezpieka wpadła do mieszkania, gdzie Jurek składał książki. Jeden z esbeków mówi: „Wie pan, że za to może pan pójść siedzieć?”. Na co Jurek zrzucił koc z kikutów: „Siedzę już od dwudziestu pięciu lat”.

W niepodległej Polsce Jurek „Obrzynek” dostał Krzyż Oficerski Polonia Restituta. Pośmiertnie, bo Rzeczpospolita często zwleka z nagrodą dla swoich bohaterów. **N**

Paweł Smoleński

AUTOR BYŁ ŁĄCZNIKIEM PODZIEMNEJ REGIONALNEJ KOMISJI WYKONAWCZEJ SOLIDARNOŚCI MAZOWSZE, PISAŁ DO PARYSKIEJ „KULTURY”. OD 1989 R. JEST DZIENNIKARZEM „GAZETY WYBORCZEJ”